

Wojciech Fenrich

## Mity otwartego dostępu

Choć ruch otwartego dostępu liczy już sobie co najmniej kilkanaście lat i trudno o tej formie udostępniania treści naukowych mówić, iż stanowi nowinkę, to na jej temat wciąż pokutuje w Polsce wiele mitów. Błędne przekonania dotyczą stojących za nią motywów, proponowanych rozwiązań technicznych czy też celów, jakie stawiać mieliby sobie jej zwolennicy.

Część z nich dotyczy otwartego dostępu we wszystkich jego odcieniach, inne z kolei próbują podawać w wątpliwość jego niektóre odmiany: *złotą drogę* (a więc dostęp realizowany za pośrednictwem otwartych czasopism naukowych), *zieloną drogę* (otwarty dostęp realizowany za pośrednictwem specjalnych serwisów zwanych repozytoriami, w których naukowcy samodzielnie archiwizują swoje teksty) czy *otwarty dostęp libre*, który w odróżnieniu od *otwartego dostępu gratis* daje odbiorcom tekstów naukowych bardzo szerokie możliwości ich wykorzystania. Inne z kolei wskazują na trudności, jakie otwarty dostęp miałby tworzyć w przypadku pewnych elementów procesu wydawniczego (np. recenzji), lub też odnoszą się do rzekomych wad rozwiązań, jakimi posługują się zwolennicy modeli otwartych. Obarczone nimi miałyby być np. otwarte mandaty, czyli prawne zobowiązania do udostępniania tekstów w modelu otwartym stosowane przez niektóre jednostki naukowe i instytucje finansujące badania w odniesieniu do swoich pracowników naukowych i studentów lub beneficjentów.

Mity te są trwałe: mimo rosnącej liczby opracowań dotyczących otwartych modeli wydawniczych, jakie ukazują się w formie artykułów naukowych, tekstów popularyzatorskich, wpisów na blogach

czy broszur, raz za razem dają się usłyszeć wciąż te same wątpliwości. W kolejnych sekcjach tego tekstu rekapituluję te zarzuty i odpowiadam na nie z punktu widzenia zwolennika modeli otwartych, starając się jednocześnie wskazać błędne założenia leżące u podstaw tych wątpliwości.

### **Mit 1: Wielość otwartych czasopism i repozytoriów sprawia, iż odnalezienie opublikowanego lub zdeponowanego w nich tekstu jest praktycznie niemożliwe**

Pierwszy z mitów przeciwstawia się nie tyle samej idei otwartego dostępu, co jednemu ze sposobów jej realizacji. Gdyby istniało jedno centralne miejsce, w którym deponowana byłaby większość publikacji z danej dziedziny, wówczas otwarty dostęp – powiadają głosiciele tego mitu – rzeczywiście mógłby ułatwiać czytelnikom dotarcie do interesujących ich treści. Rozwiązanie, w którym teksty udostępniane są w tysiącach otwartych czasopism lub deponowane w równie licznych repozytoriach instytucjonalnych, nie ułatwia jednak życia czytelnikom. Aby dotrzeć do interesujących ich zasobów, zmuszeni są oni bowiem odwiedzać każdy z takich serwisów i sprawdzać raz za razem, czy znajduje się w nich coś interesującego z punktu widzenia prowadzonych przez nich badań. W praktyce jest to jednak niewykonalne, stąd upada argument zwolenników otwartości głoszący, iż otwarte modele dystrybucji treści naukowych przyczyniają się do zwiększenia ich dostępności.

Rzeczywiście, byłyby to istotny problem, gdyby otwarte czasopismo, w jakim ukazuje się artykuł, lub otwarte repozytorium instytucjonalne, w którym jest on deponowany, było zarazem jedynym miejscem, w którym artykuł taki można byłoby odnaleźć i zapoznać się z jego treścią.

Jest jednak dokładnie odwrotnie i z reguły miejsce, w którym czytelnicy wyszukują i docierają do treści, jest różne od miejsca, w którym autorzy publikują lub deponują swoje dzieła. Dzieje się tak dzięki zachodzącej pomiędzy różnymi serwisami automatycznej wymianie metadanych, tj. danych opisujących publikacje naukowe. Wymiana ta umożliwia następnie tworzenie tzw. agregatorów, a więc serwisów, które gromadzą i w określonych odstępach czasu aktualizują informacje o publikacjach naukowych dostępnych w setkach otwartych

czasopism i repozytoriów. Następnie te agregatory na podstawie pozyskanych informacji oferują swym użytkownikom nowe usługi, z których najważniejszą jest, rzecz jasna, możliwość przeszukiwania w jednym miejscu zawartości wielu rozproszonych serwisów. W rezultacie użytkownik takiego agregatora może nie wiedzieć nawet, jakie zasoby i z jakich instytucji przeszukuje, tak jak nie musi wiedzieć, z jakiej konkretnie lokalizacji pobrany został plik PDF, z którego treścią właśnie się zapoznaje (agregatory gromadzą jedynie dane opisujące zasoby repozytoriów lub czasopism, a nie same te zasoby). Liczy się rezultat, czyli to, że dzięki swobodnej wymianie metadanych otwartych publikacji dotarcie do nich nie następuje najmniejszych trudności, nawet jeśli zdeponowane są one w setkach rozproszonych serwisów, których geograficzna lokalizacja nie ma tu większego znaczenia.

## **Mit 2: Wielość dostępnych wersji jednego tekstu tworzy chaos, przez co czytelnik nie wie, z czym ma do czynienia**

Mit ten jest oparty na założeniu, że w różnych repozytoriach znajdować się mogą różne wersje tego samego tekstu, deponowane w różnych momentach przez ich autorów. Potencjalny czytelnik może więc mieć do czynienia z tzw. oryginalną wersją autorską, którą autor lub autorzy wysłali do czasopisma i która nie zawiera zmian zaproponowanych później przez recenzentów publikacji. Może też np. wejść w posiadanie tzw. ostatecznej wersji autorskiej, która zawiera już wprawdzie zmiany wprowadzone w wyniku recenzji, ale pozbawiona jest elementów publikacji będących wynikiem procesów, za które odpowiada wydawca: korekty, składu czy paginacji. To zaś tworzy chaos: odbiorca publikacji nie ma pewności, z jakiego rodzaju tekstem ma do czynienia.

Trudność ta ma dwa źródła. Po pierwsze, część autorów stara się udostępnić swoje teksty na jak najwcześniejszym etapie. Ma to na celu nie – jak niekiedy mylnie się sądzi – uniknięcie procesu recenzowania poprzez wpuszczenie w obieg naukowy tekstu pozorującego jedynie oficjalną publikację, ale możliwie szybkie poinformowanie społeczności naukowej o swych ustaleniach. Procedury recenzyjne potrafią ciągnąć się miesiącami (a niekiedy latami), stąd zrozumiała chęć, by publikacja zaczęła „pracować” na reputację swych autorów tak szybko, jak to możliwe.

Po drugie, różni wydawcy stosują różne polityki w odniesieniu do tego, jaką wersję tekstu w jakim momencie autorzy mogą umieścić w repozytorium. Możliwe więc, iż wydawca zgadza się na natychmiastowe umieszczenie jego pierwszej wersji, która została przesłana do czasopisma, a po upływie np. sześciu miesięcy od daty publikacji dopuszcza zdeponowanie również ostatecznej wersji autorskiej, która zawiera już zmiany zasugerowane przez recenzentów.

Trudności tych można jednak łatwo uniknąć, pamiętając o kilku zasadach. Po pierwsze, tam, gdzie to możliwe, warto uzupełnić rekord publikacji o nowy plik zawierający jej późniejszą, bliższą ostatecznej wersję. Po drugie, każdy taki plik warto opisać, wskazując jednoznacznie, z jaką wersją czytelnik ma do czynienia. Po trzecie zaś, depozyt taki warto uzupełnić o informację, gdzie znajduje się ostateczna, opublikowana wersja artykułu dostępna w serwisie wydawcy. Dzięki temu czytelnik, który posiada do niej dostęp, może łatwo skorzystać z najbardziej kompletnej wersji. Jeśli nie ma do niej dostępu, wciąż ma do dyspozycji otwartą wersję znajdującą się w repozytorium.

### **Mit 3: Otwarty mandat to kolejne biurokratyczne zobowiązanie nakładane na kadrę naukową**

Trzeci z mitów głosi, iż otwarte mandaty to nic innego, jak próba nałożenia na i tak obciążoną licznymi powinnościami administracyjnymi społeczność naukowców dodatkowych obowiązków – które w dodatku utrudnią lub uniemożliwią im opublikowanie swych dzieł, ograniczając wolność wyboru miejsca publikacji.

Argument ten ignoruje jednak fakt, iż w przypadku wielu amerykańskich uczelni znaczna część otwartych mandatów została przyjęta nie w wyniku ustawowej lub administracyjnej decyzji, ale w rezultacie głosowań, w których uczestniczyli pracownicy naukowcy lub ich przedstawiciele i których wynik nierzadko bywał jednoznaczny (pełne zestawienie takich głosowań znaleźć można na stronie [http://oad.simmons.edu/oadwiki/Unanimous\\_faculty\\_votes](http://oad.simmons.edu/oadwiki/Unanimous_faculty_votes)). Świadczy to o tym, iż nawet jeśli otwarty mandat stanowi zobowiązanie nakładane na naukowców, to jest ono dla nich na tyle cenne, że gotowi są sami je na siebie nałożyć.

Dzieje się tak dlatego, że intencją stojącą za otwartym mandatem nie jest rzucanie kłód pod nogi własnym pracownikom naukowym czy też robienie im na złość, ale danie im argumentu pozwalającego skuteczniej negocjować z wydawcami korzystne tak dla badaczy, jak i dla ich instytucji macierzystych warunki publikacji. W wielu przypadkach takie indywidualne negocjacje nie są zresztą konieczne, wydawcy decydują się bowiem na zawarcie porozumienia z instytucją wprowadzającą obowiązek otwartości, tak by autorzy mogli nadal publikować w tych oficynach, pozostając jednocześnie w zgodzie ze zobowiązaniem, jakiemu podlegają. (W przypadku wydawnictwa Elsevier lista takich porozumień dostępna jest na stronie <https://www.elsevier.com/about/open-science/open-access/agreements>).

Zobowiązanie do otwartego udostępniania publikacji wyrasta z przekonania, że model taki jest korzystny dla samych naukowców, gdyż umożliwia szeroki dostęp do ich dzieł zarówno innym badaczom, jak i osobom spoza akademii. Ułatwia to zarazem budowanie (tak instytucjonalnej, jak i indywidualnej) pozycji w środowisku naukowym i pozwala skuteczniej oddziaływać na innych uczonych i świat pozaakademicki.

Nie jest przy tym prawdą, iż zobowiązanie takie w istotny sposób ogranicza naukowcom swobodę miejsca publikacji. Po pierwsze, znakomita większość otwartych mandatów bazuje na *zielonej*, a nie na *złotej drodze* otwartego dostępu, nie wymaga więc publikowania w otwartych czasopismach (które wciąż stanowią mniejszość), ale zdeponowania we wskazanym w treści mandatu miejscu (zwykle w repozytorium instytucjonalnym) i czasie odpowiedniej wersji publikacji, na co z góry zezwala wielu tradycyjnych wydawców publikacji dostępnych za opłatą.

Po drugie, otwarte mandaty zawierają też zwykle możliwość ubiegania się o tzw. *waiver*, tj. zwolnienie z obowiązku udostępniania w modelu otwartym konkretnej publikacji. Nie jest przy tym możliwe ubieganie się o zgodę o charakterze ogólnym, pozwalającą np. na uniknięcie zobowiązania w odniesieniu do wszystkich przyszłych publikacji danego pracownika. Furtka taka może być przydatna, jeśli wydawca nie jest skłonny do ustępstw, a jednocześnie z jakichś przyczyn autorowi lub autorce zależy na tym, by swe dzieło opublikować właśnie u niego.

#### **Mit 4: Otwarty mandat uniemożliwia prowadzenie badań objętych ochroną informacji niejawnych**

Mit ten głosi z kolei, że otwarty mandat zmuszając naukowców do publikowania w otwartym dostępie, utrudnia lub wręcz uniemożliwia prowadzenie badań, których wyniki objęte są ochroną informacji niejawnych. Z jednej bowiem strony pojawia się wymóg jak najszerzego udostępniania treści publikacji, z drugiej zaś konieczność, by rezultaty prowadzonych badań znane były tylko nielicznemu gronu uprawnionych osób.

Argument ten zasada się jednak na nieporozumieniu. Otwarty mandat nie wymusza tego, by określone badanie kończyło się publikacją. Wymaga on jedynie, by we wszystkich przypadkach, w których publikacja ma miejsce, dzieło było dostępne w modelu otwartym na warunkach przewidzianych w treści zobowiązania. Innymi słowy, otwarte mandaty formułowane są w sposób warunkowy: jeśli w wyniku przeprowadzonych badań planowana jest publikacja ich rezultatów, to powinna ona być dostępna w modelu otwartym. Jeśli natomiast publikacji takiej nie ma w planach, otwarty mandat zwykle nie ma zastosowania. W szczególności nie ma go tam, gdzie do publikacji nie dochodzi z uwagi na konieczność ochrony informacji niejawnych.

#### **Mit 5: Otwarty dostęp do doktoratów ogranicza możliwość ich późniejszej publikacji**

W odniesieniu do rozpraw doktorskich stosunkowo często podnosi się argument, że ich udostępnianie w modelu otwartym utrudniać może ich późniejszą publikację czy to w postaci książki, czy to serii artykułów.

Problemem mogą być tu te czasopisma i ci wydawcy, którzy stosują popularną zwłaszcza w przypadku czasopism medycznych zasadę Ingelfingera, zgodnie z którą opublikowane zostać mogą jedynie takie treści, które uprzednio nie były nigdzie upublicznione. Za Stevanem Harnadem (Harnad, 2000) zauważyć można, że z jednej strony zasada ta wydaje się rozsądnym mechanizmem pozwalającym oszczędnie gospodarować ograniczonymi zasobami

społeczności naukowej (takimi jak np. czas recenzentów). Z drugiej jednak – argument ten nie ma zastosowania w tych przypadkach, w których do dyspozycji czytelników oddane zostają wczesne, wstępne wersje publikacji (a tym w istocie są rozprawy doktorskie, które częstokroć dalece różnią się co do treści od publikacji ukazujących się ostatecznie w formie monografii naukowej czy serii artykułów). Udostępniając jak najszerszemu gronu odbiorców wczesną wersję publikacji, autor w żaden sposób nie narusza dobrych obyczajów i nie nadużywa zasobów społeczności akademickiej.

Podobnie nie dają się utrzymać i inne argumenty na rzecz tej zasady: w dobie Internetu nie jest rolą czasopism naukowych oczyszczanie uniwersum treści z informacji niebezpiecznych dla niebędącego profesjonalnym badaczem czytelnika. Czasopismo nie musi też za wszelką cenę chronić pierwszeństwa odkrycia należnego badaczowi. Jeśli ten uważa, że opublikowanie wczesnej wersji tekstu jest dla niego korzystne, należy pozwolić mu na podjęcie takiego ryzyka.

Jedynym rzeczywistym powodem obowiązywania zasady Ingelfingera jest zaś, zdaniem Harnada, ochrona strumienia przychodów wydawnictw naukowych: jeśli nie jest dostępna żadna inna, choćby bardzo wczesna wersja publikacji, ten, kto chciałby się z nią zapoznać, zmuszony jest (osobiście lub za pośrednictwem swojej instytucji) zapłacić za dostęp do niej.

Argument przeciwko otwartemu udostępnianiu rozpraw doktorskich w swej ogólnej postaci nie jest jednak zniewalający: dalece nie wszystkie czasopisma naukowe i wydawcy stosują zasadę Ingelfingera. Wystarczy więc, by ten, kto chce udostępnić swoją rozprawę w otwartym repozytorium, wybrał takie czasopismo lub takiego wydawcę, które nie będą w związku z tym stwarzać zbędnych trudności. W odniesieniu do pozostałych można zaś zadać zasadne pytanie: czy stosowanej przez nich formie nacisku należy pokornie ulegać?

## **Mit 6: Otwarty mandat uniemożliwia późniejsze opatentowanie wynalazku**

Kolejny mit otwartego dostępu głosi, iż otwarte mandaty, zobowiązując do zapewnienia otwartego dostępu do rezultatów badań

naukowych, w rzeczywistości uniemożliwiają opatentowanie powstałych w wyniku przeprowadzonych badań wynalazków.

W tym miejscu przytoczyć należy wcześniejsze stwierdzenie: otwarty mandat ani nie wymusza tego, by jakiegokolwiek rezultaty badań znajdowały odzwierciedlenie w formie publikacji, ani nie nakłada żadnych wymogów dotyczących momentu, w którym taka publikacja miałaby nastąpić. Wymóg otwartości dotyczy jedynie tych przypadków, w których opublikowanie rezultatów badań tak czy inaczej ma miejsce.

W rzeczywistości ewentualnemu opatentowaniu wynalazku stoi na przeszkodzie podanie do publicznej wiadomości jego istoty przed złożeniem wniosku do urzędu patentowego. Nie ma przy tym znaczenia, czy została ona upubliczniona za pośrednictwem artykułu naukowego udostępnionego w modelu otwartym, czy w modelu tradycyjnym, bazującym na opłatach pobieranych po stronie czytelników. Co więcej, upublicznienie takie równie dobrze może dokonać się np. w trakcie konferencyjnego wystąpienia: forma publikacji nie jest tu konieczna.

Innymi słowy, model dystrybucji publikacji jest czynnikiem neutralnym dla możliwości opatentowania wynalazku. Badacz planujący ubiegać się o patent winien przede wszystkim zważyć na to, co i w którym momencie upublicznia. To, czy istotne informacje na temat wynalazku dostaną się przedwcześnie do publicznej wiadomości za pośrednictwem wystąpienia konferencyjnego, tradycyjnej publikacji dostępnej za opłatą czy publikacji otwartej, jest kwestią drugorzędą.

Otwarte mandaty nie nakładają tymczasem obowiązku publikacji w określonym momencie od zakończenia realizacji badań, w szczególności nie wymagają tego, by jakakolwiek publikacja musiała ukazać się jeszcze przed dopełnieniem formalności wymaganych przez przepisy o ochronie patentowej, ani tego, by koniecznie opisywała istotę wynalazku. Mają one charakter warunkowy i znajdują zastosowanie dopiero w momencie, w którym zapada decyzja o wyborze sposobu dystrybucji artykułu naukowego lub książki, co do których autorzy podjęli już decyzję, iż zamierzają je opublikować. Innymi słowy: jeśli jakaś publikacja jest w planach, chcąc spełnić obowiązek wynikający z otwartego mandatu, autorzy zobowiązani są zadbać o to, by była ona dostępna w modelu otwartym na zasadach przewidzianych w treści zobowiązania, któremu podlegają – najczęściej poprzez zdeponowanie i udostępnienie którejś z wersji



tekstu we wskazanym repozytorium. Byłby to więc jeden z finalnych elementów dobrze znanego wszystkim badaczom procesu selekcji treści i doboru formy publikacji. Otwarty mandat proces ten uzupełnia, ale nie unieważnia go ani nie zastępuje.

### **Mit 7: Otwarty dostęp w wersji libre utrudnia komercjalizację wynalazków**

Kolejny mit na temat otwartego dostępu dotyczy faktycznej możliwości komercjalizacji wyników badań naukowych. Jego przedmiotem jest jeden tylko gatunek otwartego dostępu, a mianowicie otwarty dostęp libre, który czytelnikowi daje nie tylko możliwość dysponowania publikacją w relatywnie wąskim zakresie przewidzianym przez tzw. dozwolony użytek, ale pozwala również na jego szerokie wykorzystanie, zwykle obwarowane którąś z dwóch licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa (CC BY) lub Uznanie autorstwa – Na tych samym warunkach (CC BY-SA).

Argumentuje się tu, iż stosując do jakiejś publikacji (np. opisującej istotę wynalazku) jedną z wymienionych wyżej licencji, jej autorzy godzą się tym samym na to, by każdy mógł w dowolny sposób dysponować opisanym w niej wynalazkiem, co może utrudnić lub wręcz uniemożliwić jego komercjalizację.

Argument ten jest jednak nietrafny, opiera się bowiem na błędnym utożsamieniu publikacji z tym, co ona opisuje. W przypadku otwartego dostępu libre wolna licencja (np. CC BY lub CC BY-NC) dotyczy *publikacji i tylko publikacji*, dzięki czemu grono odbiorców zyskuje możliwość bardzo szerokiego jej (tj. publikacji) wykorzystania. Wolna licencja ma się jednak nijak do prawa do dysponowania tym, co w takiej publikacji jest opisane. W szczególności otwarta publikacja dostępna na wolnej licencji może opisywać wynalazek, który został już uprzednio opatentowany, co ani nie unieważnia uzyskanego wcześniej patentu, ani nie sprawia, iż jego posiadacze „zrzekają się” tym samym praw do wynalazku (por. Siewicz, 2012, p. 21).

Ujmując rzecz jeszcze inaczej: ukazanie się wydanego na wolnej licencji albumu ze zdjęciami krakowskiej starówki nie jest równoznaczne z tym, iż posiadacz egzemplarza takiego albumu zyskuje prawo do swobodnego dysponowania przedstawionymi na fotografiach

kamienicami, że właściciele tych kamienic zrzekli się do nich wszelkich praw ani że wydawca takiego albumu „wywłaszczył” ich za pomocą licencji CC BY. Podobnie opisanie w publikacji naukowej wydanej na wolnej licencji istoty wynalazku nie rozstrzyga, komu przysługuje prawo do dysponowania nim i czerpania zysków z jego monetyzacji.

### **Mit 8: Otwarty dostęp wyklucza możliwość czerpania zysków ze sprzedaży tych wersji publikacji naukowych, które dotychczas dostępne były za opłatą**

Podnoszący ten zarzut głoszą, że powszechna, darmowa dostępność elektronicznych wersji publikacji naukowych oznaczać będzie koniec ich wersji płatnych, dostępnych czy to w postaci elektronicznej, czy to w formie wydań drukowanych. Miałyby to sprawiać, iż uszczupleniu ulegną finanse wydawców oraz nielicznych autorów publikacji naukowych, dla których ich sprzedaż również stanowi źródło przychodu.

Wystarczy jednak rzut oka na przypadek jednej z popularnych pozycji dotyczących kwestii otwartego dostępu – książkę *Open Access* Petera Subera – by stwierdzić, iż wydania otwarte i dostępne za opłatą mogą ze sobą z powodzeniem współistnieć. Pozycja ta ukazała się w czerwcu 2013 roku i początkowo dostępna była zarówno w postaci elektronicznej za opłatą (np. w serwisie [www.amazon.com](http://www.amazon.com)), jak i w wersji drukowanej. Po roku stała się ona dostępna w modelu otwartym na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Użycie niekomercyjne, a jej egzemplarze w kilku różnych formatach pobrać można ze strony wydawcy, witryny prowadzonej przez autora czy też z repozytorium instytucjonalnego jego macierzystej uczelni. Jednocześnie nadal nabyć można jej wydanie drukowane lub elektroniczne, przeznaczone na czytnik Kindle.

O tym, że dana pozycja dostępna jest w sposób otwarty, można mówić, o ile spełnione są pewne warunki, nie zaś wtedy, gdy zagwarantuje się, iż jakieś okoliczności nigdy nie wystąpią. Jeśli cyfrowa postać publikacji dostępna jest bez opłat i technicznych ograniczeń w Internecie, wystarczy to, by stwierdzić, iż jest ona dostępna w modelu otwartym. Fakt, iż jednocześnie sprzedaje się jej wydania papierowe lub elektroniczne, jest tu bez znaczenia.

Zwolennicy tego mitu niekiedy twierdzą jednocześnie, iż niemożliwa jest całkowita rezygnacja z wydań papierowych, jako że znaczna część czytelników jest przywiązana do tego nośnika – uznają go za wygodniejszy lub mniej kłopotliwy od wydań elektronicznych. Zarazem jednak potrafią oni głosić, iż powszechny otwarty dostęp spowoduje drastyczny spadek popytu na wydania dostępne za opłatą.

Tymczasem jedno z dwojga: być może liczba entuzjastów wydań papierowych rzeczywiście jest tak duża, że dziś decyzja o rezygnacji z tego nośnika byłaby pochopna, jednak w takim przypadku obawy związane ze spadkiem przychodów wydawców mogą być przesądzone. Może być rzecz jasna tak, że otwarty dostęp znacząco ograniczy liczbę osób chcących zakupić wydanie papierowe, jeśli jednak spadek ten rzeczywiście okaże się znaczący, warto wtedy rozważyć rezygnację z przygotowywania *a priori* drukowanego nakładu, garście chętnych osób pozostawiając np. możliwość uzyskania tradycyjnego egzemplarza w ramach usługi druku na żądanie.

### **Mit 9: Otwarty dostęp znaczy, że autorzy muszą pokryć wysokie opłaty za opublikowanie tekstu w otwartym czasopiśmie**

Mit ten głosi, że nawet jeśli otwarty dostęp jest czymś korzystnym tak dla naukowców, jak i czytelników, to jednak jest on rozwiązaniem drogim, na które znakomitej większości badaczy nie stać. Aby opublikować tekst w takim modelu, autor musi bowiem pokryć koszt publikacji w otwartym czasopiśmie. Ten zaś sięgać może nawet kilku tysięcy dolarów lub euro (Solomon, Björk, 2012).

Pogląd taki ignoruje jednak zupełnie istnienie *zielonej drogi*, w przypadku której od autora oczekuje się samodzielnego zdeponowania tekstu swojej publikacji w otwartym repozytorium i udostępnienia go za jego pośrednictwem, co nie wymaga żadnych opłat.

Nie jest to jednak argument trafny także w przypadku *złotej drogi*, która bazuje na otwartych czasopismach. Dalece nie wszystkie periodyki tego rodzaju stosują bowiem model biznesowy wymagający pobierania opłat za opublikowanie tekstu. Ich budżet może opierać się również w całości lub części na dotacjach, przychodach z reklam czy ze sprzedaży współistniejących wydań drukowanych

(przeгляд takich rozwiązań znaleźć można w Bednarek-Michalska, 2013; por. również analizę wariantów transformacji tradycyjnych czasopism w czasopiśmie otwarte, dostępną na stronach harwardzkiego Journal-Flipping Project: <https://osc.hul.harvard.edu/programs/journal-flipping/>). Oznacza to, że duża część otwartych czasopism może z powodzeniem pozwolić sobie na niepobieranie opłat za opublikowanie tekstu i rzeczywiście tego nie czyni. Dodatkowo, jeśli autor uzna, iż najlepszym miejscem dla planowanej przezeń publikacji jest jednak czasopismo, które takie opłaty pobiera, a zarazem nie dysponuje on odpowiednimi środkami, zwykle ma do dyspozycji możliwość ubiegania się o zwolnienie z takiej opłaty.

Nie jest też precyzyjne stwierdzenie, iż to właśnie na autorze ciąży obowiązek pokrycia takiej należności. Równie dobrze może ją pokryć w jego imieniu ktoś inny: jego jednostka naukowa, uczelnia, pracodawca, instytucja finansująca lub tworzone w tym celu specjalne fundusze, jakie spotyka się przede wszystkim w zachodnich instytucjach naukowych (przykład harwardzki znaleźć można na stronie: <https://osc.hul.harvard.edu/programs/hope/>).

Również w Polsce istnieje możliwość pokrycia kosztów takiej publikacji np. w ramach grantu naukowego, dlatego warto uwzględnić ewentualne wydatki tego rodzaju w planowanym kosztorysie. Dodatkowo polscy naukowcy mogą skorzystać z finansowanego centralnie programu Springer Open Choice (<http://vls.icm.edu.pl/zasady/2015/Springer/SpringerOpenChoice2015.html>), w ramach którego koszty finansowania otwartych publikacji polskich naukowców w czasopiśmie hybrydowych (tj. takich, które zasadniczo funkcjonują w modelu tradycyjnym, a jedynie na życzenie autorów i po uiszczeniu odpowiedniej opłaty część artykułów udostępniają w sposób otwarty) wydawnictwa Springer pokrywane są ze środków Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego.

### **Mit 10: Procedury recenzyjne otwartych czasopism mają charakter pozorny, a w rezultacie tytuły te charakteryzuje niska jakość publikowanych treści**

Kolejna wątpliwość głosi, że czasopiśmie ukazujące się w modelu *złotej drogi* charakteryzują się niską jakością publikowanych treści,

a recenzje zapewniane przez takie tytuły to fikcja. W periodykach tego rodzaju – powiadają głosiciele tego mitu – pobiera się od autorów opłatę za opublikowanie tekstu, stąd żadnym zysku drapieżnym wydawcom nie zależy na piętrzeniu wymagań. W skrajnym przypadku każdy, kogo tylko stać na pokrycie stosownej opłaty, z pewnością swój tekst opublikuje.

Osoby wyrażające tę wątpliwość zyskują argumenty dzięki prowokacjom takim jak ta opisana przez czasopismo „Science” (Bohannon, 2013), w wyniku której 157 spośród 255 otwartych czasopism zaakceptowało artykuł naukowy posiadający usterki w oczywisty sposób dyskwalifikujące go jako materiał nadający się do publikacji.

Po pierwsze, przypomnieć można jednak wskazywaną już okoliczność, iż jedynie część otwartych czasopism pobiera opłaty za opublikowanie tekstu; zasadnicza wątpliwość nie dotyczy tu zaś modelu dystrybucji treści, ale modelu biznesowego, który generować miałyby zachęty finansowe dla nieetycznego lub niedbałego postępowania.

Po drugie, nie tylko otwarte czasopisma mogą pobierać opłaty za opublikowanie tekstu. Czynią tak również tradycyjne tytuły naukowe otrzymujące przychody ze sprzedaży publikowanych w nich tekstów uczelniom, bibliotekom lub bezpośrednio czytelnikom. Zarzut ten stosowałyby się więc zarówno do czasopism otwartych, jak i zamkniętych, albowiem – ponownie – kluczowy aspekt dotyczy tu nie sposobu dystrybucji treści, ale modelu biznesowego czasopisma. Tymczasem związek pomiędzy otwartością czasopisma lub jej brakiem a pobieraniem lub niepobieraniem opłat za opublikowanie tekstu ma charakter przygodny.

Po trzecie, również w przypadku czasopism tradycyjnych istnieją finansowe motywy do obniżania jakości recenzji nadsyłanych tekstów (por. Suber, 2014). W bardzo selektywnym periodyku, który akceptuje tylko jeden na dziesięć nadesłanych artykułów, wszystkie dziesięć generuje koszty związane z obsługą procesu recenzyjnego, ale tylko jeden staje się ostatecznie źródłem przychodu będącego rezultatem opłat ponoszonych przez osoby i instytucje chcące uzyskać dostęp do publikowanych treści. Jeśli jednak czasopismo takie znacząco obniży swe standardy i akceptować będzie połowę nadsyłanych tekstów, koszty pozostaną bez zmian, ale jego przychód wzrośnie pięciokrotnie.

Wyniki prowokacji takich jak ta opublikowana w „Science” wskazują, że istniejący system komunikacji naukowej trapią poważne problemy (por. odpowiedź ze strony Open Access Scholarly Publisher Association oraz komentarze na stronie <http://oaspa.org/response-to-the-recent-article-in-science/>). Na ile jednak problemy te związane są z modelem dystrybucji treści, na ile z modelem biznesowym – tak otwartych, jak i zamkniętych – czasopism naukowych, na ile z pokusą wykorzystania rosnącej presji w kierunku szybkiego budowania dorobku publikacyjnego, a na ile z istniejącą strukturą własności na rynku czasopism naukowych (czasopisma prowadzone przez wydawnictwa komercyjne vs nienastawione na generowanie zysku tytuły wydawane przez uczelnie lub towarzystwa naukowe) – wszystko to trzeba dopiero ustalić.

Tak czy inaczej, zarzut ten nie dotyczy otwartego dostępu jako całości, a jedynie bazującego na otwartych czasopismach modelu *złotej drogi*. W przypadku *zielonej drogi* opartej na systemie repozytoriów gromadzących teksty opublikowane również w czasopismach tradycyjnych powyższe wątpliwości nie mają już jednak zastosowania.

### **Mit 11: Otwarty dostęp ułatwia zadanie plagiatorom**

Ostatni z argumentów głosi, że wraz z upowszechnieniem otwartego dostępu wzrastać będzie zagrożenie plagiatami. Duża liczba publikacji dostępnych w modelu otwartym miałyby sprawiać, iż dokonanie plagiatu staje się sprawą banalną, sprowadzającą się do kilku ruchów myszką i skorzystania z funkcji „kopiuj – wklej”.

Wątpliwość ta nie dotyczy jednak jedynie publikacji dostępnych w modelu otwartym, ale wszystkich cyfrowych wersji publikacji, niezależnie od tego, czy dystrybuowane są one za opłatą za pośrednictwem witryn wydawców czy księgarni e-booków, czy za pośrednictwem otwartych repozytoriów, a dostęp do nich nie wymaga uiszczenia żadnej opłaty po stronie czytelnika. W tym sformułowaniu byłby to więc argument przeciwko dostępności cyfrowych wersji publikacji naukowych w ogóle: chcąc ograniczyć liczbę plagiatów, powinniśmy pozostać raczej przy drukowanych wydaniach papierowych i w ten sposób utrudnić życie ewentualnym oszustom. W czasach, w których niemal wszystkie nowo powstające dzieła są zrodzone

cyfrowo, w których stale rosnąca liczba publikacji opisujących wyniki badań naukowych sprawia, iż ich cyfrowe wersje stają się niezbędne, by w rozsądnym czasie w ogóle móc dotrzeć do interesujących nas treści, w których stale rośnie popularność czytników książek elektronicznych, a znaczna część artykułów naukowych dostępna jest już wyłącznie w postaci cyfrowej, byłby to jednak postulat naiwny.

Co więcej, byłby to również postulat szkodliwy z punktu widzenia przeciwdziałania plagiatom. Istnieje bowiem i druga, istotniejsza strona medalu: szeroka dostępność otwartych, cyfrowych wersji publikacji naukowych sprzyja bowiem możliwości łatwego ustalenia, iż do plagiatu doszło (Brandt, Gutbrod, Wellnitz, & Wolf, 2010). Jest to możliwe zarówno dzięki komputerowym metodom identyfikacji prac, co do których zachodzi podejrzenie, iż w całości lub części stanowią plagiat (tzw. systemy antyplagiatowe), jak i w sposób bardziej tradycyjny, poprzez ułatwienie dostępu do treści uważnym czytelnikom mogącym samodzielnie zorientować się w oszustwie.

Dzięki temu otwartość chroni przed plagiatami również pośrednio: z punktu widzenia osoby planującej tego rodzaju proceder cyfrowe wersje tekstów rzeczywiście mogą ułatwiać techniczną stronę przedsięwzięcia, znacznie ułatwiają też jednak jego wykrycie. Wiedząc o tym, potencjalny plagiator najpewniej zrezygnuje z „zapożyczeń” akurat z tych dzieł, do których dostęp jest najłatwiejszy, tj. otwartych publikacji dostępnych zarówno zainteresowanym czytelnikom, jak i maszynom. W tej sytuacji na ryzyko plagiatu narażone będą raczej te pozycje, które wydane zostały w niskim nakładzie wyłącznie w formie drukowanej i które nigdy nie zdołały zyskać sobie szerszego grona odbiorców. W ich przypadku plagiat będzie nieco trudniejszy, ale też o wiele trudniej będzie się zorientować, iż w ogóle miał miejsce.

Mit ten znajduje niekiedy swoje rozwinięcie w stwierdzeniu, że o ile otwarty dostęp w wersji gratis rzeczywiście nie przyczynia się do powstawania nowych plagiatów, o tyle jego odmiana *libre*, dająca odbiorcom szeroki wachlarz możliwości, jeśli chodzi o sposób wykorzystania publikacji, *de facto* stanowi przyzwolenie na plagiat, wolne licencje zaś to jawna zachęta dla oszustów, by obficie czerpać z dorobku innych.

Tymczasem otwarte i wolne licencje nawet w swych najszerszych wersjach zalecanych w przypadku publikacji naukowych – takich jak

Creative Commons Uznanie autorstwa i Creative Commons Uznanie autorstwa – Na tych samych warunkach – choć rzeczywiście pozwalają na wiele, nie rezygnują jednak z wymogu uznania autorstwa, tj. wskazania autora lub autorów dzieł, z których się korzysta. Właśnie ten warunek jest potencjalnemu plagiatorowi najbardziej nie w smak.

### **Mitologia dobrej wiary**

Przedstawione powyżej wątpliwości w większości przypadków wysuwane są w dobrej wierze przez osoby zatroskane o jakość badań naukowych, uczciwe budowanie swego dorobku, sprawny przebieg procesu wydawniczego czy optymalną alokację środków finansowych przeznaczanych na realizację i upowszechnianie badań naukowych.

Nie mamy tu do czynienia ani ze zorganizowanym atakiem na otwarte modele dystrybucji treści naukowych, ani tym bardziej ze świadectwami głębokiej do nich niechęci rozpowszechnionej wśród polskich naukowców. Wątpliwości te nie są zresztą typowo polskie i słyszy się je wszędzie tam, gdzie od funkcjonujących od lat w obrębie tradycyjnych modeli wydawniczych badaczy oczekuje się na przykład samodzielnego deponowania tekstów naukowych (podczas gdy za ich dystrybucję zawsze odpowiadał wydawca) albo zachęca się ich do upowszechniania wczesnych wersji tekstów (podczas gdy zawsze przekonani byli oni, że publikacja naukowa staje się nią „naprawdę” dopiero po przejściu procesu recenzyjnego). I choć otwartość nie stoi w sprzeczności ani z istnieniem płatnych wersji drukowanych dystrybuowanych przez wydawców, ani z zachowaniem tradycyjnego modelu recenzowania, wątpliwości te mogą być zrozumiałe i wymagają cierplivej dyskusji mającej na celu wyklarowanie zamiarów i obiektywności zaangażowanych stron.

Siła otwartego dostępu tkwi w tym, że jest to model korzystny zarówno dla samych naukowców, jak i dla odbiorców ich publikacji, którymi mogą być zarówno inni naukowcy, jak i osoby i instytucje spoza uniwersyteckich kampusów (por. na przykład wprowadzenie do Willinsky, 2009). Istnieją przy tym dobre powody, by przypuszczać, iż wielu badaczy intuicyjnie zdaje sobie sprawę z tego, że ułatwiając innym darmowy dostęp do elektronicznych wersji swoich dzieł,



działają również – jeśli nie przede wszystkim – w swoim interesie. Świadczy o tym rosnąca popularność naukowych serwisów społecznościowych, takich jak Academia.edu czy Researchgate. Z możliwości udostępniania tam swoich tekstów korzystają tysiące polskich naukowców i czynią tak mimo tego, iż nie mają szczegółowego rozeznania w zakresie charakterystyki otwartych modeli, a samo pojęcie „otwarty dostęp” wielu z nich być może jedynie obilo się o uszy.

Dyskusja, na ile tego typu komercyjne inicjatywy wpisują się w propagowane przez zwolenników otwartego dostępu idee, rozwiązania techniczne i modele biznesowe, choć istotna, zaprzęta i zaprzętać będzie jedynie nielicznych (interesujące rozważania na ten temat znaleźć można np. w Hall, 2015). W tym miejscu istotne jest jednak to, iż już dziś tysiące polskich naukowców udostępnia swoje publikacje, czyniąc to tak, jak może i potrafi w istniejącym otoczeniu technicznym, prawnym i administracyjnym.

Zarysowane powyżej mity dotyczą więc raczej szczegółowych rozwiązań mających zapewnić jak najszerszą dostępność publikacji naukowych. O tym, że co do zasady takiej szerokiej dostępności polscy naukowcy sobie życzą, świadczą przede wszystkim ich działania. Bez dyskusji o szczegółach nie sposób zaś wyobrazić sobie rzeczywistego upowszechnienia otwartych modeli dystrybucji treści naukowych w Polsce, tak jak nie sposób wyobrazić go sobie bez cierpliwego i konsekwentnego mierzenia się z powracającymi wątpliwościami. Są to bowiem dwie strony tego samego medalu.

## Literatura

- Bednarek-Michalska, B. (2013). *Modele biznesowe otwartego publikowania naukowego. Informator dla polskich wydawców uczelnianych*. Toruń: Stowarzyszenie EBIB. Pozyskane z: [http://open.ebib.pl/ojs/index.php/wydawnictwa\\_zwarte/article/view/111](http://open.ebib.pl/ojs/index.php/wydawnictwa_zwarte/article/view/111)
- Bohannon, J. (2013). Who's Afraid of Peer Review? *Science*, 342(6154), 60–65. doi: 10.1126/science.342.6154.60
- Brandt, J., Gutbrod, M., Wellnitz, O., & Wolf, L. (2010). *Plagiarism Detection in Open Access Publications*. Proceedings of the 4th International Plagiarism Conference. Pozyskane z: <https://www.ibr.cs.tu-bs.de/papers/brandt-ipc10.pdf>

- Hall, G. (2015). *Does Academia.edu Mean Open Access Is Becoming Irrelevant?* Pozyskane z: <http://www.garyhall.info/journal/2015/10/18/does-academiaedu-mean-open-access-is-becoming-irrelevant.html>
- Harnad, S. (2000). Ingelfinger Over-Ruled: The Role of the Web in the Future of Refereed Medical Journal Publishing. *The Lancet Perspectives*, 256 (December Supplement), 16.
- Siewicz, K. (2012). *Otwarty dostęp do publikacji naukowych. Kwestie prawne*. Warszawa: Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego. Pozyskane z: <https://depot.ceon.pl/handle/123456789/335>
- Solomon, D. J., & Björk, B.-C. (2012). A study of open access journals using article processing charges. *Journal of the American Society for Information Science and Technology*, 63(8), 1485–1495. doi: 10.1002/asi.22673
- Suber, P. (2014). *Otwarty dostęp*. Warszawa: Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego. Pozyskane z: <http://pon.edu.pl/index.php/nasze-publicacje?pubid=14>
- Willinsky, J. (2009). *The Access Principle: The Case for Open Access to Research and Scholarship*. Cambridge, Mass.: The MIT Press.